

Wołanie i pocieszenie



Najdrożsi,

Także ten rok, tak szczególny i dramatyczny dla świata, Kościoła i naszych wspólnot przynosi czas Adwentu i Bożego Narodzenia, który odnawia w nas pragnienie, aby Pan Jezus dla wszystkich stał się Emmanuelem, Bogiem-z-nami, który umacnia naszą nadzieję i przynosi pociechę swojej obecności. Wydaje mi się zatem, że dobrze będzie przemedytować wraz z wami właśnie obecność Chrystusa, który pociesza każde serce.

„Nie płacz”

„Jezus udał się do pewnego miasta, zwanego Nain; a szli z Nim Jego uczniowie i tłum wielki. Gdy zbliżył się do bramy miejskiej, właśnie wynoszono umarłego – jedyne go syna matki, a ta była wdową. Towarzyszył jej spory tłum z miasta. Na jej widok Pan uzalił się nad nią i rzekł do niej: «Nie płacz!»” (Łk 7, 11-13)

Zawsze przemawia do mnie sposób, w jaki Jezus wyraża swoje współczucie tej kobiecie. Przemawia do mnie, że od razu mówi: „Nie płacz!”, bez wstępów, bez wywodów na temat cierpienia tej niewiasty i tragedii, jaka ją dotknęła. Nie wchodzi z nią w dialog, o nic nie pyta. Widzi tylko obecną rzeczywistość samej kobiety, która odprowadza młodego człowieka do grobu. Być może nikt nie powiadomił Jezusa o rodzinnej sytuacji tej kobiety. Jezus widzi, że idzie sama, bez męża, pozostałych dzieci, którzy by ją mogli pocieszyć. Została sama z niezmiernym bólem. Jezus to widzi. Nie potrzebuje widzieć nic innego, chociaż potrafi czytać w sercach, potrafi przeniknąć przeszłość i przyszłość każdego człowieka, którego napotyka. Wystarczy Mu jednak obecny ból, aby „użalić się nad nią”. Żal, współczucie są prawdziwe, jeśli przylgnie się do obecnego bólu, do serca, które płacze teraz, które być może właśnie teraz traci nadzieję. Jezus nie uzala się nad bolesną historią, ale nad sercem, które cierpi teraz, nawet jeśli w to serce jest wpisana cała historia bólu, samotności, zawiedzionych nadziei, tak jak dla tej kobiety, po śmierci męża, jedyną nadzieją mógł być jej jedynak. Jezusowi wystarczy rzeczywistość serca, które cierpi przed Nim, w tym właśnie momencie. Tak oto Chrystus ogarnia wiecznym współczuciem cały świat, bo w każdym momencie widzi cierpienie obecne w każdym z serc. Współczucie to przyłgnięcie jednego serca do cierpiącego serca drugiego.

Współczucie jednak nie wystarczy. Cierpiące serce potrzebuje także pocieszenia. We współczuciu jeden cierpi z drugim, ale to może sprowadzić się do uczucia, które ostatecznie pozostawi drugiego z jego bólem. Pocieszenie z kolei to relacja, to – zgodnie z etymologią słowa – „bycie z drugim, który jest sam”, towarzyszenie. [W oryginale włoskim

istnieje tu gra słów: *consolazione* – pocieszenie i *solo* – sam, samotny – przyp. tłum.]. „Jestem z tobą, który cierpisz” – właśnie to wyraża pocieszenie.

Zatem Jezus, zanim dokona cudu, pociesza wdowę z Nain słowami pozornie szorstkimi i zimnymi, mogącymi wydać się rozkazem, bezceremonialnym potraktowaniem jej cierpienia: „Nie płacz!” Z pewnością powiedział to łagodnie, może nawet ze łzami w oczach, tak jak wówczas, gdy płakał nad Jerozolimą (por. Łk 19, 41) albo nad grobem Łazarza (por. J 11, 35). Jednak te słowa, tak bezpośrednio, wyrażone z autorytetem (rzeczywiście, Łukasz nie pisze tutaj *Jezus*, ale *Pan*), przypominają nam coś zupełnie podstawowego: tylko Jezus Chrystus może wypowiedzieć się w ten sposób, tylko Chrystus może wyrazić w ten sposób swoje współczucie i pocieszenie.

Dwie godziny płaczu

Niedalej jak przed miesiącem wracałem pociągiem z Niemiec. Była to długa, dwunastogodzinna podróż. Między Frankfurtem a Fryburgiem Bryzgowijskim, gdy zająłem miejsce, usłyszałem za sobą dziwne szlochanie. Później spostrzegłem, że był to płacz młodego człowieka, momentami bardzo silny, tak że wszyscy w wagonie byli zdezorientowani. U jego boku siedziała młoda kobieta, której to miejsce przypadło z przypadku i która usiłowała pocieszyć go z wielką delikatnością, pytając go o powód tego płaczu. Usłyszałem, że ten młodzieniec musiał udać się nagle do domu rodzinnego z powodu śmierci brata albo z tego powodu, że brat znalazł się w krytycznej sytuacji. Nie byłem w stanie usiąść przy nim, żeby pocieszyć go bezpośrednio, także dlatego, że kobieta radziła sobie z tym zadaniem bardzo dobrze. Chciałem to zrobić, wręcz miałem poczucie obowiązku, ale warunki w pociągu nie pozwoliły mi na nic innego, jak tylko na podanie ręki temu człowiekowi i spojrzenie mu w oczy. Zrozumiałem wtedy, że prosi się mnie o coś innego: o modlitwę, o modlitwę uporczywą i bezradną, taką, która mogła liczyć jedynie na czułość Ojca, na współczucie Syna i pociechę Pocieszyciela.

Przez dwie godziny płacz tego człowieka i moja biedna modlitwa podróżowały razem, w objęciu o wiele silniejszym, niż gdybym mógł go przytulić, pocieszyć gestem i słowem. Nie mogłem zrobić nic innego, nie mogłem zająć się czymś innym niż tym właśnie. Jego ból był niejako złożony w moje ręce, a ja przedkładałem go Panu.

Przez te dwie godziny rozumiałem, czym jest modlitwa, w szczególności w powołaniu monastycznym, czego nie rozumiałem dotąd przez 61 lat życia i 36 lat życia w klasztorze. Prosi się nas o pocieszanie świata tą pociechą, jaką jedynie Bóg może nam dać, jaką jedynie Bóg może nas obdarzyć. W tym pociągu byłem w takiej sytuacji, że każda próba pocieszenia, która pochodziła ode mnie była skazana na niepowodzenie, na bezradność. Jednocześnie było to tak, jakbym był odpowiedzialny za to, by temu zranionemu sercu przekazać pociechę Chrystusową. Oczywiście, Jezus powołuje nas również do tego, żebyśmy w słowach i gestach przekazywali światu Jego pociechę. Przypomina nam jednak, że tylko On umie i może pocieszyć ludzkie serce, On, który je stworzył, który zna wszelką jego radość i ból. Także wówczas, gdy prosi się nas i możemy wyrazić się gestami i słowami, nasza pociecha jest sensowna i skuteczna jedynie wtedy, gdy przekazuje pocieszenie Chrystusa.

Wyraża to dobrze św. Paweł pisząc do Koryntian: „Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec miłosierdzia i Bóg wszelkiej pociechy, Ten, który nas pociesza w każdym naszym utrapieniu, byśmy sami mogli pocieszać tych, co są w jakiegokolwiek udręce, pociechą, której doznajemy od Boga.” (2 Kor 1, 3-4)

Pocieszanie ludzkości – jak wielkiej pociechy potrzebuje świat w tym roku pandemii i tylu prób! – dokonuje się ono przez *przekazywanie*, przekazywanie doświadczenia pociechy, które jest dane nam jako pierwszym, i jako takich prosi się nas, byśmy je czynili, aby móc obdarować nim wszystkich.

Nie pamiętam już który z Ojców powiedział, że modlitwa mnichów, zwłaszcza podczas nocnych wigilii jest niczym mama, która słyszy w nocy płaczą dziecka i wstaje z łóżka, by je ukoić. Być może jesteśmy zaproszeni, aby głęboko odnowić właśnie to w naszym powołaniu chrześcijańskim i monastycznym. W obliczu łez świata, Jezus powołuje nas, byśmy się stali pokornymi i pewnymi sługami owego „Nie płacz!”, które On sam może powiedzieć temu, kto cierpi, kto jest samotny, kto stracił wszystko, łącznie z nadzieją.

Zatem, w obliczu każdego bólu prosi się nas, żebyśmy ofiarowali nasze autentyczne towarzyszenie, autentyczną przyjaźń, takie jednak, które posiada powiew wiary w to, że tylko Jezus może dotrzeć do złamanych serc, by je pocieszyć. Tym powiewem jest modlitwa, dosłownie zebranie o pociechę Chrystusową, zebranie o Ducha Pocieszyciela, którego w sekwencji Zielonych Świąt nazywamy „Ojcem ubogich” i „najmilszym Pocieszycielem”.

Tamtego dnia w pociągu myślałem nad zdaniem Izaaka Syryjczyka, które towarzyszy mi od lat: „W trudzie modlitwy i wytężeniu serca, jednocz się z sercami strudzonymi, a przed tym, o co prosisz otworzy się źródło pociechy” (*Mowy ascetyczne*, 30).

Prawdziwa odnowa

Od czasu tego doświadczenia w pociągu z Frankfurtu do Fryburga Bryzgowijskiego, znalazłem się w innym świecie modlitwy. Wszystkie modlitwy liturgiczne, wszystkie psalmy zaczęły nabierać innego wydźwięku, innego horyzontu. Modlitwa chrześcijańska każe nam zawsze wołać do Boga, aby otrzymać to, co tylko On może i chce dać. W ostatecznym rozrachunku, człowiek, o cokolwiek by nie prosił, zawsze prosi o Bożą pociechę. Prosi stale, by Bóg był przy nim, żeby go nie opuszczał, żeby był z nim na drogach życia, był z nim w próbach, we wszelkiej „ciemnej dolinie”, we wszelkich „cieniach śmierci”, przez jakie musi przejść i w jakich się czuje samotny (por. Ps 22, 4).

Świadomość, że stoi się przed Bogiem to tajemnica każdej odnowy. Ten, kto z wiarą staje w obliczu aktualnych doświadczeń ludzkości, spostrzega, że nie ma sensu oczekiwać takiej nowości, która nie byłaby związana z pociechą, jaką Bóg daje światu w Chrystusie umarłym i zmartwychwstałym, w Chrystusie obecnym pośród nas i idącym z nami. Kościół, pomimo całej swej ludzkiej biedy, jest sakramentem tego pocieszenia i jest wierny temu swojemu posłannictwu o tyle, o ile modli się i działa, aby przekazać ludzkości pociechę od Boga w Chrystusie. Tylko w ten sposób świat może się odnowić, od nas samych począwszy, począwszy od naszych wspólnot.

Nigdy nie zwracałem uwagi na fakt, że w Apokalipsie Jezus mówi: *Oto wszystko czynię nowe* (Ap 21, 5) bezpośrednio po opisie nowego Jeruzalem, gdzie Bóg ociera każdą łzę i gdzie każdy ból znajduje pociechę w Bożej obecności.

„I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu:

«Oto przybytek Boga z ludźmi:

i zamieszka wraz z nimi,

i będą oni Jego ludem,

a On będzie BOGIEM Z NIMI.

I otrze z ich oczu wszelką łzę,
a śmierci już odtąd nie będzie.
Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu
już odtąd nie będzie,
bo pierwsze rzeczy przeminęły».
I rzekł Zasiadający na tronie:
«Oto czynię wszystko nowe.» (Ap 21, 3-5a)

To właśnie przez pocieszenie Chrystus odnawia wszystko. Uczyni to w zupełności na końcu czasów, ale ta eschatologiczna odnowa rozpoczyna się tu i teraz, za każdym razem, kiedy ktoś ociera łzy ludzkiego bólu. Każda modlitwa, która zebrze o pociechę Pana i każdy gest bądź słowo, które ją przekazują we wszelakich sytuacjach, w których staje przed nami ludzki ból, uprzedzają i przyspieszają całkowite odnowienie świata w Chrystusie.

Utożsamieni z Jezusem Chrystusem

Św. Grzegorz z Nazjanzu, komentując werset z Psalmu 8 *Czym jest człowiek, że o nim pamiętasz* (8, 5) zapytuje: „Jaka nowa i wielka tajemnica otacza moje istnienie? Czemu to jestem mały i wielki zarazem, pokorny, a przecież wzniosły, śmiertelny i nieśmiertelny, ziemski, a jednocześnie niebieski?” I znajduje odpowiedź w odkupieńczym wcieleniu Syna Bożego: „Bóg przyjął całe nasze człowieczeństwo i stał się pokornym, żeby zmartwychwstać w ciebie, żeby ocalić jego pierwotny obraz i w ten sposób odnowić człowieka, abyśmy się stali jedno w Chrystusie. On zjednoczył się całkowicie z nami. To wszystko, czym jest, stało się w całości nasze. Pod każdym względem my Nim jesteśmy.” (*Mowy*, 7, 23)

To właśnie winno nas napawać wielkim zdziwieniem w obliczu nas samych i każdego człowieka: fakt, że wcielenie, śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa pozwalają nam powiedzieć: „Pod każdym względem my Nim jesteśmy”. Pod każdym względem naszego człowieczeństwa, nawet najmniejszym i najbardziej ułomnym, my Nim jesteśmy, a On nami. Nie możemy tego zrozumieć, to tajemnica, ale dane nam jest to przeżyć, doświadczyć tego, a to doświadczenie jest nowym życiem, nową moralnością, nowym sposobem bycia w relacji z Bogiem i ze wszystkimi. Nowe człowieczeństwo Chrystusa, to fascynujące człowieczeństwo, które ukazuje nam Ewangelia i życie świętych, jest dla nas możliwe, bo On nas utożsamił ze sobą i w zasadzie potrzeba tu tylko naszej uległości, by przyłgnąć do Niego jako do pełnej i całkowitej prawdy o naszym człowieczeństwie. To droga, gdyż nasza wolność postępuje nie zrywami, ale krokami. Jest jednak ważne wiedzieć, że drogą jest właśnie to, że cel, meta zostały już osiągnięte, jak to ujmuje św. Grzegorz z Nazjanzu, w Bogu, który „przyjął całe nasze człowieczeństwo.”

Skoro jesteśmy pociągnięci naszym przeznaczeniem, by utożsamić się z Chrystusem, ważne byśmy z pomocą Kościoła zważali na to, jak Chrystus chciał być obecny pośród nas. Kościół ukazuje nam Chrystusa, stawia nas w obecności Pana, we wszystkich aspektach Jego i naszego życia, abyśmy byli pociągnięci i wsparci w przyłgnięciu i utożsamieniu się z Nim. Wystarczy wspomnieć o tym, jak papież Franciszek zaprasza nas na drogę nawrócenia ku powszechnemu braterstwu, stawiając nam przed oczyma w encyklice *Fratelli tutti* obraz Chrystusa dobrego Samarytanina. Jest to ikona prawdziwego człowieczeństwa, pełnego, utożsamionego pod każdym względem z Chrystusem, który przyszedł, by pocieszyć każdego człowieka.

Z tego względu, nawet kiedy boleśnie nam tego brakuje, kiedy przez grzech odcinamy się od piękna tego wzoru, jakim dla nas jest Chrystus – choćbyśmy to czynili tysiąc razy dziennie – prawdziwa pomoc, jaką daje nam Kościół nie polega na zanurzeniu nas w błocie naszego zła, w szpetocie naszego odejścia od Chrystusa, ale na postawieniu nam przed oczyma i przed sercem najdoskonalszego piękna Pana, którym jest Jego miłosierdzie, jego ojcowska czułość.

„Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom. Tak, Ojcze, gdyż takie było Twoje upodobanie. Wszystko przekazał Mi Ojciec mój. Nikt też nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn, i ten, komu Syn zechce objawić. Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemię lekkie.” (Mt 11, 25-29)

Jezus nas pociąga ku pełni człowieczeństwa, którym jest łagodność i pokora serca, które ukazuje Ojca i przekazuje całe dobro, jakie Ojciec daje światu, to jest samego Syna i Ducha Pocieszyciela.

Modlitwa i komunie braterska są wówczas nie tylko dobrymi praktykami faryzejskimi, aby czuć się w porządku, ale przyłgnięciem do nowego człowieczeństwa, które jest nam dane w utożsamieniu się z Chrystusem, Synem Bożym. Relacja z Bogiem i relacja z bliźnim to podstawowe i zasadnicze wymiary, w których jesteśmy wezwani, aby doświadczać tego, że „pod każdym względem my Nim jesteśmy”.

Wołanie prośby

Kiedy umarł Łazarz, w obliczu bólu jego sióstr, pocieszenie Chrystusa wyraziło się w dwóch wymiarach: głębokiej modlitwy do Ojca i prawdziwego towarzyszenia cierpiącym bliskim. Żeby przekazać pociechę Chrystusa, Kościół uczy nas przeżywać autentyczną modlitwę i prawdziwe, wcielone towarzyszenie, jak towarzyszenie Jezusa. Pocieszenie przekazuje się, tak jak udzielał go Jezus podczas swej ziemskiej misji: poprzez prawdziwą obecność przy ludziach, obecność wszakże opanowaną przez całkowitą zależność od Ojca. W Nim te dwie obecności: przy Ojcu i przy innych, nigdy nie doznały rozdzielenia, gdyż tworzyły relacyjną jedność Jego Osoby.

Jezus nie rozdzielał komunii z Bogiem od komunii z bliźnim. Były one w Nim wyrazem jednego Serca, jednej miłości. Także Kościół jest zawsze wezwany do tego, żeby nie rozdzielać obowiązku modlitwy od obowiązku braterskiej bliskości i do nauczania nas przeżywania tej jedności, która nam pozwala przyłgnąć do Chrystusa i stać się tak jak On, utożsamić się z Nim.

Ostatnio uświadomiłem sobie, jak powierzchownie i nieuważnie odmawiam modlitwę *Ojcze nasz*. Odmawiamy ją wiele razy w ciągu dnia, bo jest to modlitwa, której nauczył nas Jezus, jest to esencja wszelkiej chrześcijańskiej modlitwy, wszelkiej modlitwy biblijnej. Zrozumiałem również, że nieuważa w odmawianiu *Ojcze nasz* to nie tyle niemyślenie o tym, co wypowiadam, ale to nieproszenie o to, co wypowiadam. Nieuważa, powierzchowność podczas modlitwy to nie sprawa pojęć i słów, o których się myśli, nie jest to także brak uczucia żarliwości, ale sytuują się one tam, gdzie słowa modlitwy nie są wołaniem prośby, nie błagają, nie żebrzą. Zacząłem więc odmawiać *Ojcze nasz* akcentując słowa prośby, które podsuwa nam ta modlitwa:

„Ojcie nasz, któryś jest w niebie, **święć się** imię Twoje, **przyjdź** królestwo Twoje, **bądź** wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego **daj** nam dzisiaj. I **odpuść** nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I **nie wódź** nas na pokuszenie, ale nas **zbaw** ode złego.”

Od razu stało się tak, jakby *Ojcie nasz* stało się na nowo modlitwą, moją modlitwą i modlitwą całej ludzkości potrzebującej Boga, Ojca. Tym, co sprawia, że to, co wypowiadamy staje się nasze, jest przede wszystkim prośba, wołanie prośby, które żebrze. Jest tak, bo to jakby zjednoczenie słowa, które wypowiadamy z przepaścią naszej prawdziwej potrzeby, którą może być zranienie, ból, brak, a także dobro, którego pragniemy dla tych, których kochamy. Ta przepaść jednakże to zawsze przepaść naszego serca, które w modlitwie wyraża się i rozszerza. Im bardziej modlitwa wyraża wielką i palącą potrzebę, zdolą rozszerzyć się na całą ludzkość, tym jest mniej powierzchowna i nieuważna. Potrzeba, która każe nam wołać nie jest nigdy powierzchowna. Nasze serce i serce świata nie są nigdy powierzchowne. Powierzchowym jest nie modlić się z głębi tej przepaści. Modliwa staje się głęboka, jeśli wołanie, jakie wyraża rozbrzmiewa z głębokości potrzeby, które sprawia, że czujemy się opuszczeni, o ile tylko ten Drugi nie odpowie. Z tego powodu, modlitwa głęboka, prawdziwa, ludzka jest zawsze wyrazem potrzeby pocieszenia, tego pocieszenia, które może nam dać jedynie Bóg-z-nami.

Także i psalmy, jakże stają się głębokie, kiedy pokreślamy w nich prośbę! Psalmy to szkoła modlitwy, gdyż uczą nas prosić prawdziwie, prawdziwie wołać do Boga. „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie!” (Ps 129, 1). Nawet Jezus, kiedy przytacza w ewangelii psalm, czyni to wołając: „Koło godziny dziewiątej Jezus zawołał donośnym głosem: [...] «Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?»» (Mt 27, 46)

Woła opuszczenie, woła, aby błagać o obecność Ojca, o pociechę Ojca w Jego bezdennej samotności „męża boleści” obarczonego grzechami całej ludzkości.

Wolność proszenia

Psalmy, tak jak cała modlitwa Kościoła, uczą nas rozumienia, że wołanie implikuje naszą wolność. Człowiek może utracić wszystkie swoje wolności, ale nigdy nie traci wolności wołania, a kiedy zaczyna wołać, nastaje wolność, nawet jeśli jest ona bezradna.

Nie dysponujemy wolnością w sensie zdolności posiadania i czynienia wszystkiego, ale mamy zawsze wolność, aby prosić o wszystko, wolność, która uznaje, że Bóg może wszystko, że od Ojca możemy otrzymać wszystko, nawet łaskę po grzechu, nawet jedność po podziale, nawet życie po śmierci.

Św. Benedykt był głęboko świadomy tego połączenia modlitwy i wolności. Kiedy mówi o klasztornym oratorium, daje każdemu mnichowi, który przecież złożył ślub całkowitego posłuszeństwa i tego, że absolutnie niczego nie uczyni bez pozwolenia opata, wolność, by zawsze móc wejść do kościoła i modlić się: *simpliciter intret et oret* – „niech po prostu wejdzie i się modli” (RB 52, 4). Nikomu nie można odmówić tej podstawowej wolności do prostego proszenia Boga o wszystko, bo jest to wolność, której Bóg udziela człowiekowi, stwarzając jego wolność na obraz swojej wolności, w dialogu ze swoją wolnością. W obliczu prostej modlitwy prośby, istnieje nieskończona przestrzeń wolności Boga, który stwarza człowieka wobec swojej nieskończonej miłości, wobec swojego miłującego ojcostwa. Ogród, w którym Bóg umieszcza Adama i Ewę to przestrzeń bardziej duchowa niż materialna, w której człowiek jest w obecności Boga ojcowskiego i bliskiego, zawsze otwartego na relację i dialog ze swoim stworzeniem.

Od owego przebywania *simpliciter* wobec Boga człowiek oddalił się przez grzech, Bóg jednak go nie pozbawił, a w Chrystusie całkowicie mu przywrócił, bezwarunkową możliwość wolnego „wchodzenia” w tę przestrzeń. Św. Benedykt jest świadomy, że ta przestrzeń to jest nade wszystko wewnętrzna, choć pomieszczenie oratorium uczy nas odkrywać ją w nas i pomiędzy nami. Rzeczywiście, powiedziawszy, że brat, który pragnie się modlić „niech wejdzie po prostu i niech się modli”, dodaje: „nie na cały głos, lecz ze łzami i z głębi serca” – *in lacrymis et intentione cordis* (52, 4). Nie ma potrzeby podkreślać sztucznie głębokiej natury naszej wolności, która sama z siebie już jest wołaniem z głębokości naszego serca, z pragnienia, którym jest nasze serce, zwłaszcza, gdy doświadcza własnej nędzy, głębokiego smutku z powodu samotności i opuszczenia, bo opuściło Boga. Łzy serca są proste i głębokie jak łzy Adama, więcej nawet – są łzami dziecka, któremu zabrakło mamy.

Psalm 101 mówi, że Bóg spogląda z nieba „żeby usłyszeć jęki uwięzionych, aby skazanych na śmierć ocalić” (Ps 101, 21). Boże słuchanie naszej modlitwy, która nieraz jest jedynie jękiem, wzdychaniem, jest przestrzenią wyzwolenia, możliwością bycia wolnymi, nawet jeśli jesteśmy więźniami różnorodnych ograniczeń naszej modliwości. Gdybyśmy byli prawdziwie świadomi, że modlitwa jest przestrzenią prawdziwej wolności, w której wzmagą się nasza wolność lub może nawet się odradza, nie „załatwilibyśmy” w takim pośpiechu naszych modlitw, jakbyśmy chcieli się uwolnić od nieprzyjemnego obowiązku. Raczej chcielibyśmy modlić się zawsze, bo człowiek przez swoją naturę jest stworzony, by być zawsze wolnym. Adam nie pojął, że Bóg dał mu wolność, aby *prosić* o wszystko, a nie, aby *brać* wszystko, gdyż w braniu wolność sprowadza się do posiadania, zasklepia się na tym, co się posiada, natomiast w prośbie wolność się rozszerza i pozostaje otwarta na przyjęcie daru, a zatem na wdzięczność, bo Bóg nigdy nie stawia granic darom swojej bezinteresowności.

Ciało Ducha

Jeśli taka jest nasza dusza, jeśli pozwolimy Chrystusowi wyzwolić nasze wołanie do Ojca, wówczas również zmartwychwstaje ciało, wówczas także i ciało odzyskuje życie.

„Usunięto więc kamień. Jezus wznosił oczy do góry i rzekł: «Ojcze, dziękuję Ci, żeś mnie wysłuchał. Ja wiedziałem, że mnie zawsze wysłuchujesz. Ale ze względu na otaczający Mnie lud to powiedziałem, aby uwierzyli, żeś Ty Mnie posłał». To powiedziawszy zawołał donośnym głosem: «Łazarzu, wyjdź na zewnątrz!» I wyszedł zmarły, mając nogi i ręce powiązane opaskami, a twarz jego była zawinięta chustą. Rzekł do nich Jezus: «Rozwiążcie go i pozwólcie mu chodzić!»” (J 11, 41-44)

Owocem prośby, błagającej Ojca o Ducha jest życie ciała, ciała, które odzyskuje życie, ciała wyzwolonego ze śmierci, choć pozostającego powiązanego ziemskimi uwarunkowaniami, „opaskami”, które inni powinni pomóc nam rozwiązać

Życie Kościoła i nasze życie w Kościele to ciągle odnawiane przychodzenie Ducha Bożego, który przychodzi obdarować życiem ludzkie ciało, ciało naszego człowieczeństwa, zranione i zabite grzechem i jego skutkami w nas samych i na całym świecie. Chrystus wcielił się, żeby pokazać nam, jak ciało ludzkie może stać się, że się tak wyrażę, ciałem Ducha Świętego. Czym jest dzień Pięćdziesiątnicy, jeśli nie ożywieniem ciała Kościoła, w którym to Duch Boży urzeczywistnia obecność Chrystusa w świecie? Duch bierze również nasze ciało i ożywia je, aby uczynić z niego wcielone Ciało Chrystusa, tak jak dokonało się

to w Maryi: „Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego Cię osłoni, dlatego też Święte, które się narodzi będzie nazwane Synem Bożym.” (Łk. 1, 35)

Jest to tajemnica, której nie możemy zrozumieć, ale jesteśmy wezwani, żeby ją przeżyć, żeby pozwolić, by wydarzyła się w nas i pośród nas, tak jak w Dziewicy Maryi. Tajemnicę chrześcijańską można zrozumieć tylko na drodze doświadczenia. W obliczu powszechnego kryzysu ludzkości, więcej nawet – w samym jego *środku*, tak jak w obliczu tego chłopaka, który płakał w pociągu, przynaglenie wraz z wołaniem naszej niemocnej wolności do Ojca Wszechmocnego, domaga się, by nadeszła odnowiona obecność Boga w ciele świata, by Duch Święty wrócił, ażeby odnowić Ciało Chrystusa poprzez nakaz dany Łazarzowi, aby wyszedł z grobu, poprzez *dotyk* mar, na których leżał syn wdowy z Nain i poprzez wskrzeszenie go. (por. Łk 7, 14).

To właśnie jest łaska i przynaglenie Kościoła i w Kościele od dnia Pięćdziesiątnicy: stawać się Ciałem ożywionym przez Ducha Świętego, tak jak Jezus w Maryi. Chodzi o użyczenie ciała Parakletowi, to znaczy Pocieszycielowi. Z tego powodu w obliczu łez ludzkości, postawą najbardziej autentyczną jest modlitwa w Wieczerniku, ale także wyjście na place, by zwiastować Zmartwychwstałego, niosąc światu, poprzez słowa i uczynki, tchnienie Ducha, który sprawia, że przychodzi Bóg-z-nami.

Ucieleśniać spotkanie z Chrystusem

Co ucieleśnia Duch w naszym człowieczeństwie, złożonym z osób, z życia codziennego i społecznego? Co ucieleśnia Pocieszyciel w naszym ciele, w naszym głosie, w naszym spojrzeniu? Ucieleśnia spotkanie z Chrystusem, obecność Jezusa, który wychodzi naprzeciw każdemu człowiekowi, który wchodzi w relację z ludzkością, odpowiadając na całe pragnienie każdego serca.

Jezus uczynił cuda każdego rodzaju, ale każdy rodzaj uzdrowienia albo wyzwolenia od złego ducha zaspokajał serce osób nie tyle odzyskanym zdrowiem lub równowagą, nie tyle przywróconym życiem, co zawsze i jedynie spotkaniem z samym Chrystusem, ze światłem Jego oblicza. Dziewięciu trędowatych, którzy nie powrócili do Jezusa zadowolili się uzdrowieniem z trądu. Tylko jeden pojął, że jego serce szukało nie tylko takiego uzdrowienia, ale Oblicza tego Człowieka, którego spotkał (por. Łk 17, 11-19).

Kiedy Duch Pocieszyciel daje Kościołowi życie, czyni to przekształcając grupę ludzi obecnych w Wieczerniku w ciało, które pozwala wszystkim spotkać Chrystusa. Duch przemienia nasze oblicza w Oblicze Chrystusa, aby nawet poprzez nasze nędzne ciało Jezus mógł odpowiedzieć na pragnienie sensu i piękna, które płonie w sercu każdego człowieka, w każdym położeniu osobistym, społecznym, kulturowym, które płonie także pod warstwą popiołu światowości, jaka dziś tak bardzo odwraca nas od naszego prawdziwego pragnienia.

Adwent i Boże Narodzenie pomagają nam przypomnieć sobie, że Zwiastowania nie można nigdy oddzielić od Nawiedzenia, bo Bóg wciela się w nas, aby stać się esencją i radością każdego spotkania międzyludzkiego. „Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty napełnił Elżbietę. Wydała ona okrzyk i powiedziała: «Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona.»” (Łk 1, 41-42)

Duch jest nam dany, abyśmy urzeczywistnili pomiędzy nami komunie, którą jest On sam w Trójcy. Ciało Kościoła zostało utworzone przez Pocieszyciela, by każdy człowiek spotkał i umożliwił innym spotkanie Jezusa Chrystusa, a w Nim – Ojca. Braterstwo, do którego w encyklice *Fratelli tutti* z naciskiem wzywa nas papież Franciszek, na drodze rachunku sumienia i nawrócenia, jest urzeczywistnieniem w nas, pomiędzy nami i wraz ze wszystkimi, tej tajemnicy. Jeśli nasze chrześcijańskie życie i życie naszych wspólnot temu nie służy, nie formuje ku temu, znaczy, że nie są one ożywiane Duchem Chrystusowym, ale duchem świata, który jest zawsze pyszny i zamknięty w sobie, nawet kiedy myśli że jest wielkoduszny i pomocny wszystkim.

Bez spotkania z Jezusem nie ma pocieszenia, bo bez niego serce pozostaje samo, pozbawione sensu i miłości. Dlatego ważnym jest, abyśmy w tym momencie dziejów, tak zdezorientowanym i pełnym niepokoju, przeżyli Adwent i Boże Narodzenie słuchając, również dla pożytku całej ludzkości, zaproszenia, jakie kieruje do nas sam Jezus, aby z przyjąć Jego przyjście z pewnością wiary: „Nabierzcie ducha i podnieście głowy, ponieważ zbliża się wasze odkupienie!” (Łk 21, 28)

Niech radość Bożego Narodzenia płynąca z nieustannej możliwości spotkania Jezusa, rozświetli nasze spojrzenie na wszystkich i na wszystko i uczyni nas coraz bardziej zjednoczonymi wokół Niego.

Wszystkim życzę Błogosławionych Świąt Bożego Narodzenia!



br. Mauro-Giuseppe Lepori, opat generalny OCist